



pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

Marja Wysłouchowa.

Prenumerata wynosi:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

NA GODY.

Gdzie słomiany dach nad chatą,
Ciężkim śniegiem ubielony —
I tam słychać gwarne tony
I tam święcą Nowe Łato.





Grzmi skrzypica pod gospodą,
Rozklejona i popsuta;
Z niej się długie tony wiodą,
Kołędowa płynie nuta.

Chłopców z całej wsi gromada
Wtórzy skrzypcom, aż pierś pęka,
Od sąsiada do sąsiada
Chodzą śpiewać pod okienka:

O miasteczku Betleemie,
O Jezusie, o Niebianku,



Który przyszedł na tę ziemię,
Zrodzon w stajni i na sianku.

Chłopcy głosy rozpuścili,
Skrzypak długą kwintę bierze;
Zda się, słyszysz: Jezus kwili,
Pocieszają go pasterze.

Mróz choć skrzypi, śnieg choć zimny,
Wiatr choć wieje z poza góry,
Rzekłbyś, cały krąg natury
Pastuszkowe śpiewa hymny.

Od okienka do okienka
Chłopcy orszak z pieśnią wiodą;
Wszędy huczna grzmi piosenka, —
Najhuczniejsza pod gospodą...

Władysław Syrokomla.





Z księgi naszych krzywd.

Pamiętacie niezawodnie, drodzy Czytelnicy, artykuł pod tytułem »Bohaterstwo dzieci«, umieszczony w lipcowym Nr. »Zorzy« z roku bieżącego. Była w nim mowa o tem, jako uczniowie i uczenice szkoły ludowej w mieście Wrześni, położonem niedaleko od Poznania, nie chcieli uczyć się religji po niemiecku. Nadaremnie profesor, a zwłaszcza okrutny inspektor, prusak, imieniem Winter, zmuszali ich do tego. Dzieci znosiły z bohaterką wytrzymałością kary przeróżne, areszt i chłostę, powtarzając głośno i śmiało, że religji w języku niemieckim uczyć się nie będą.

Pastwienie się Prusaków nad dziećmi polskimi dosięgło największej zaciętości w dniu 20. maja roku bieżącego. W dzień ów nieszczęsny bito dzieci w szkole z takim okrucieństwem, że jęki, płacz i lament słychać było na ulicy. Wieść, że dzieci katują, rozbiegła się szybko po miasteczku, a przerażeni rodzice pośpieszyli im na ratunek. Przed szkołą utworzyło się zbiegowisko, z kilkunastu osób złożone. A gdy dzieci zaczęły wychodzić ze szkoły, blade, splakane, z opuchniętymi rękami od bicia linją, — wówczas z piersi nie jednej matki wyrwało się narzekanie, a pięści ojców zaciskały się gniewnie w poczuciu krzywdy i rozpacz...

Rozsrożyło to niesłuchanie Prusaków. — Jakto, matki polskie nie błogosławią szkoły, która dręczy dusze dzieci, zabijając w nich uczucia najświętsze, — a ciało kaleczy hańbiącą chłostą? — Jakto, ojcowie Polacy nie dziękują nam pokornie, że raczymy deptać, niby gady zjadliwe, dziatki, co są ich radością i dumą? — Ha, trzeba ukarać, — przykładnie ukarać niewdzięcznych buntowników!

Jakoż wezwano natychmiast policję, a pan inspektor namawiał urzędników policyjnych, aby uderzyli na lud z bronią w rękę. Ci jednak, widząc, że ludzie zachowują się spokojnie, nie usłuchali złych podszeptów krzewiciela oświaty pruskiej.

Dalszym skutkiem zejść w mieście Wrześni był sąd na rodziców, którym serca uderzyły silniej na widok krzywdy i męki niewinnych dzieci. Odbył się on w mieście Gnieźnie, z którym łączy się tyle pamiątek sławy polskiej, — trwał trzy dni i był istic Piłatowym sądem!

Bo jakkolwiek z zeznań świadków, a nawet policjantów pruskich wyszło na jaw, że oskarżeni nie popełnili nic karygodnego, — jakkolwiek świetna obrona adwokatów wykazała bezprawność w postępowaniu i okrucieństwo władz szkolnych, — pomimo to wszystko jednak, prokurator zażądał surowych kar, — zażądał skazania na długie więzienie ojców i matki ubogich rodzin. A sędziowie pruscy — po długiej wprawdzie naradzie, bo i oni są ludźmi i oni mają serce i ich matki zrodziły — więc sędziowie pruscy uczynili więcej, niż żądał prokurator, dodali po kilka miesięcy więzienia rodzicom katowanych dzieci...

Najcięższy wyrok spadł na Piasecką, matkę siedmiorga drobnych dzieci, bo zasądzono ją aż na dwa i pół lat więzienia. Ojcowie: Dzieciuchowicz i Chojnacki skazani zostali na 2 lata więzienia. Innych zasądzono na rok, półtora, lub kilka miesięcy więzienia. Nawet nieletnie chłopaki: Antoni Korzeniowski i Aleksander Wiśniewski, nie uniknęli kary, — pierwszego skazano na 9 miesięcy, a drugiego na 2½, miesięcy więzienia. — Kto wie, może stróże więzienni, ludzie prości, nie będą tak znęcali się nad nimi, jak profesorowie, których obowiązkiem jest kochać młodzież, kształcić ją, prowadzić ku dobremu.

O braku uczuć ludzkich w sercach sędziów świadczy wyrok, którym skazał Józefa Żołnierkiewicza, ojca i Katarzynę Żołnierkiewiczową, matkę — oboje na 9 miesięcy więzienia. A cóż poczują bezradne dziatki, podczas gdy rodzice siedzieć będą w ciemnicy wraz ze zbrodniarzami? — Kto je nakarmi, odzieje, upieści?...

Bardzo różnorodne uczucia budzi proces gnieźniński w duszach naszych: ból, oburzenie i radość!... Tak, i radość, bo rzucił światło na myśli i uczucia ludu wielkopolskiego. Myśli to jasne, uczucia podniosłe, gorące. Dla przykładu przytoczę choćby drobny urywek z pytań, zadawanych przez sędziego jednej z matek, Gadzińskiej.

Gadzińska mówi z płaczem, że synek jej nie może przecież uczyć się religji po niemiecku, bo jest Polak, prawy Polak z dziada — pradziada. Na to przewodniczący sądu zapytuje: »Alboż to taka różnica, czy po polsku, lub po niemiecku?« — Gadzińska: »Bardzo wielka różnica! Gdy dziecko moje czyta mi katechizm po polsku, wtedy się raduję; to moje całe szczęście, mój cały majątek. A gdy po niemiecku czyta, wtedy mi się serce kraje«. — Przewodniczący: »A gdy się kto modli po polsku, czy to Panu Bogu bardziej się podoba?« — Gadzińska: — »Każdy musi się modlić w języku, który mu Pan Bóg dał, nie w obcym. Na to Pan Bóg dał różne języki«.

O wielkiej mocy ducha skazanych, których razem jest 20 osób, świadczy zachowanie się ich, gdy im odczytano wyrok okrutny.

»Wyrok — pisze »Goniec Wielkopolski«, gazeta, wychodząca w Poznaniu — przyjęli oskarżeni w milczeniu i ze spokojem dziwnym. Chociaż pomiędzy skazanymi byli ludzie, którzy nigdy przed kratkami sądowymi nie stawali, dzieci, kobiety z ludu i panie, a wszyscy na lata i miesiące mieli pójść do więzienia, to przecież nigdzie nie było słyhać płaczu.

»Dozorcy więzienni wywołują skazanych z ław oskarżonych i na sali sądowej nakładają kajdany na ręce i dwóch młodzieńców, skutych ze sobą, prowadzą do cel więziennych. Publiczność opuszcza salę i rozchodzi się spiesźnie do domów. Na dworze szaleje burza«....

Na dworze szalała burza, gdy wyrok zapadał, a w duszach sędziów pruskich, czy świeciła pogoda?...

Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Kto tam zgadnie, co i jak czują dusze Prusaków. Natomiast wiemy, jakie wrażenie wywarł ów sąd Piłatowy na dusze polskie. Ból, oburzenie, żal wstrząsnęły całym społeczeństwem naszym. Uczucia te przebiegły, niby iskra elektryczna, z krańca w kraniec ziemię polską, co choć rozdarła przez wrogów, tworzy zawsze jedną niepodzielną całość. W Warszawie, w Wilnie, Krakowie, Lwowie odczuto krzywdę i niesprawiedliwość równie silnie, jak w Poznaniu. I wszędzie zbudziła się nie mniej gorąca chęć pomocy tym, co ucierpieli za miłość dla mowy ojczystej. Od pierwszej chwili poczęły też płynąć i płyną wciąż składki dla dzieci, aby nie zabrakło im chleba podczas nieobecności rodziców, aby nie pomarły z głodu, jak tego widocznie chcą prusacy. Bogaci dają setki koron, ubodzy składają grosze, od własnych ust odjęte...

O niech ten chleb z bratnich rąk miłujących pokrzepi dzieci wielkopolskie do dalszej walki o skarby ojczyste, o mowę przodków, — niech pokrzepi do walki i do — zwycięstwa!

M. W.



Ku czci Adama Mickiewicza.



Młodzież akademicka we Lwowie składa z roku na rok hołd pamięci Mickiewicza, święcąc uroczystym obchodem 26. listopada, jako rocznicę śmierci największego

poety polskiego. Za pięknym przykładem młodzieży poszły też od lat wielu inne stowarzyszenia, inne instytucje. I tyle odbywa się zazwyczaj obchodów Mickiewiczowskich po naszych miastach i miasteczkach w ciągu listopada, że miesiąc ten można nazwać śmiało poświęconym czci sławnego pieśniarza.

Co zaś do grudnia, to z tym miesiącem wiąże się pamięć już to miłych, już uroczystych chwil w życiu Mickiewicza, a także wspomnienie wielkiej sławy pośmiertnej. Odpowiedni więc to czas i dla nas, czytelników.

ników »Zorzy«, przypomnieć sobie pokrótce zdarzenia, których rocznice teraz właśnie przypadają i są obchodzone przez ogół społeczeństwa.

Adam Mickiewicz urodził się na Litwie w wigilję Bożego Narodzenia, to znaczy na Adama i Ewę, 24 grudnia 1798 roku.

Wszystkie dzieci bez wyjątku wyglądają Wigilji z upragnieniem, ale dla małego Adasia, którego imieniny i urodziny przypadały w tym samym dniu, bywała ona potrójnie uroczysta, potrójnie radosna. Ileż to czerwonych jabłuszek i słodkich pierników dostawał wtedy od rodziców i krewnych! Jak ślicznie, niby złote gwiazdki, błyszczały mu w oczach świeczki, zapalone na choince!

I potem, w latach młodzieńczych, lubił najbardziej ów dzień. O jednej zwłaszcza wigilji z tego okresu jego życia przechowała się piękna opowieść.

Było to tak:

Wśród młodzieży akademickiej w Wilnie, stolicy Litwy, istniało za czasów Mickiewicza przepiękne stowarzyszenie. Członkowie tego stowarzyszenia nazywali się Filaretami, to znaczy miłośnikami cnoty. Celem ich było dopomaganie sobie wzajemne w nauce i cnocie. To znaczy: Filareci dopomagali jeden drugiemu do zdobywania coraz szerszej wiedzy i coraz liczniejszych przymiotów serca. Filareci nie oddawali się nigdy pustym rozrywkom, nie pili też gorących trunków: gorzałki, wódki, piwa. Zgromadzając się często w licznym towarzystwie, trawili czas na czytaniu mądrych i pożytecznych książek, albo też pięknych artykułów i rozprawek, które pisywali sami po kolei.

Silna i szczerą przyjaźń, na miłości dla cnoty oparta, łączyła filarecką drużynę. Wszyscy uważali się tu wzajemnie za braci i spieszyli jeden drugiemu z braterską pomocą. Skoro bogatszy dowiedział się, że biedny towarzysz nie ma czem zapłacić za obiad lub mieszkanie, spieszył wnet usunąć od niego te kłopoty. Gdy niezamożny filaret spostrzegł, że któryś z towarzyszy nie może dać sobie rady z nauką, że się obawia egzaminów, ofiarowywał mu szczerą pomoc i póty z nim pracował, póty tłumaczył, wyjaśniał, aż tamten doskonale wszystko pojął, doskonale wszystkiego się wyuczył.

Dla nikogo jednak filareckie grono nie żywiło tak gorącej przyjaźni i uwielbienia, jak dla dwóch najlepszych i największych z pośród siebie, — jak dla Adama Mickiewicza i Tomasza Zana.

Tomasz Zan, najstarszy wiekiem, poważny, tkliwego serca, a stałego, jak granit, charakteru, był niby ojcem duchowym młodej gromady. Mickiewicz, natchniony piewca, zapalał towarzyszy żarem swych pieśni, tłumaczył na cudny język poezji jej dążenia i uczucia. Oni właśnie, ci dwaj wybrani, porywali na wyżyny i innych potęgą własnego ducha.

To też wielki smutek, wielki żal ogarnął filarecką gromadkę, gdy Mickiewicz, po skończeniu uniwersytetu w 21 roku życia, pożegnał Wilno i udał się do innego miasta na Litwie, — do Kowna, aby tam objąć posadę nauczyciela przy szkole powiatowej.

I Mickiewiczowi nie łatwo było rozstać się z drogimi przyjaciółmi. Młody był wówczas, bardzo młody, — ot taki, jakim go widzimy na tym portrecie — nie umiał jeszcze panować nad uczuciami, nad sercem i w listach, pisanych do Wilna, wypowiadał swoją tęsknotę i chęć zobaczenia ukochanych towarzyszy. Oni też radzi byli ujrzeć go najrychlej, więc stanęło na tem, że pierwsze święta Bożego narodzenia spędzi wraz z nimi w Wilnie.

Jakoż tak się stało. Mickiewicz przyjechał w umówiony dzień, a młodzi przyjaciele obchodzili uroczyste w Wigilję dzień jego imienin i urodzin.

Poczęstunek był skromny wprawdzie, bo filareci ślubowali wystrzegać się wszelakiego zbytku, lecz szczerą radość i przyjaźń umilały chwile. Jeden z towarzyszy grał na flecie dla drogiego gościa ulubione piosenki, — Tomasz Zan śpiewał na jego cześć ułożoną przez siebie śpiewkę; — inni opowiadali mu o sobie, o swoich pracach, o wszystkim, co mogli go zająć lub uradować.

Mickiewicz dziękował, przemawiał porywająco, płacił ufnością za ufność, — sercem za serce, — opowiadał o pieśniach, które ułożył — i o tych, które w przyszłości miał napisać. I wieczór cały przemknął szybko, niby krótka chwila szczęścia, a wspomnienie jego pozostało na zawsze w gorącym i wiernym sercu poety.

Potem dwie inne jeszcze wigilje upamiętniły się w życiu Mickiewicza. Jedną z nich poeta spędził w dziesięć lat później w Rzymie. Obchodzono wówczas w tym samym dniu imieniny ślicznej Ewy Ankwiczówny, którą Mickiewicz kochał i pragnął poślubić, z którą jednak rozłączyły go nieprzyjemne losy.

Podczas drugiej ze wspomnianych wigilji, we dwadzieścia lat po owej wileńskiej, poeta nasz przebywał w stolicy Francji,

w Paryżu. Znajdował się on wówczas u szczytu sławy, a rząd francuski zaprosił go na profesora do jednego z najwyższych zakładów naukowych w Paryżu.

Owoż kółko przyjaciół i wielbicieli Mickiewicza, pragnąc upamiętnić pierwszy świetny jego wykład w onej wysokiej szkole paryskiej, wydało na jego cześć wspaniałą ucztę w wigilję Bożego Narodzenia, jako w dzień imienin i urodzin poety.

Wziuszony objawami czci i miłości, które go spotkały ze strony rodaków, Mickiewicz począł improwizować, to znaczy mówić wiersze bez przygotowania, a patrzącym zdawało się, że jakaś siła cudowna unosi go ponad ziemię i wkłada mu w usta wspaniałe słowa i rymy.

wać sobie przyjaźń dozgonną. Nieufni mówili, że wierzą teraz w zmartwychwstanie ojczyzny, — smutni powiadali, że radość wstąpiła w ich serca, — chorzy przestali uczuwać trapiące ich dolegliwości, tak wielką moc posiadał nad duszami ludzkiemi natchniony poeta.

I jeszcze o jednej wigilji wspomnę w tem miejscu, — o wigilji z przed trzech lat za ledwie. Wielu z Was, drodzy Przyjaciele, pamięta ją.

W Warszawie, ze składek całego narodu, od najbiedniejszych do najbogatszych, stanął pomnik wspaniały, którego wyobrażenie widzicie tu na obrazku. Odświeżenie nastąpiło w 1898 roku w dzień wigilji, jako



Adam Mickiewicz w wieku młodzieńczym.

Poeta nasz miewał i dawniej takie chwile wysokiego natchnienia, które zewnętrznie nawet zmieniały go do niepoznania. Głos jego stawał się wówczas mocny i dźwięczny, z oczu biły blaski, pobladła twarz jaśniała, jak u proroka. Ci, co słyszeli go w takich chwilach, sami zapominali o całym świecie, płakali i drżeli z zachwytu, jak wobec cudu.

I podczas owego obchodu wigilijnego natchnione słowa rwały się z ust poety, niby fale wezbranego potoku, a słuchacze nie wiedzieli, gdzie się znajdują, w niebie, czy na ziemi. Dopiero gdy pierwsze wrażenie minęło, poczęli się ścisnąć ze łzami, oblicy-

w dzień urodzin i imienin poety. Do Warszawy zjechały się tłumy nieprzeliczone ze wszystkich stron, a najwięcej z Litwy, rodzinnej ziemi Mickiewicza. Byli też i włościanie, nietylko z Królestwa Polskiego, lecz i z Galicji i ze Śląska Cieszyńskiego i ze Ślązka Górnego.

Wielu z was, Czytelnicy drodzy, pamięta, jaka to była uroczystość podniosła. Duch nieśmiertelny Mickiewicza zdawał się unosić nad ojczyzną, którą kochał tak bardzo, — zdawał się ożywiać serca ludzkie. To też miłość łączyła tłumy, wiązała w jedną miłującą się rodzinę wszystkie warstwy narodu.

Święto Mickiewicza było świętem dla wszystkich. Każdy wiedział, rozumiał o co chodzi i składał w sercu swoim hołd sławnemu poecie. Opowiadają, że staruszka jakaś, przekupka od straganu, wychodząc

— Adam! — odpowiedział wnet ślepy dziadek — i dziś jego święto...

A oto drugi rozrzewniający przykład: Boso, zziębnięty chłopak od szewca prosi policjanta, by go wpuścił za ogrodzenie,



Pomnik Adama Mickiewicza w Warszawie.

z kościoła, podała jałmużnę ślepemu żebrakowi ze słowami:

-- Pomódlcie się za duszę Mickiewicza, któremu było na imię...

Tu zacięła się, nie mogąc sobie przypomnieć.

otaczające pomnik. Policjant, rosjanin, nie chce o tem ani słyszeć, odpędza go brutalnie. Chłopak nie daje jednak za wygraną i usiłuje go zmiękczyć.

— Panie — mówi błagalnie — puść mię, proszę! Tak chcę bliżej przypatrzeć się

naszemu Mickiewiczowi. Puść mię, a Bóg ci wynagrodzi... Wszak i ja mam prawo tam być, bom i ja dał składkę na pomnik... Nie wierzysz, panie?... O dałem, słowo honoru! Dałem szóstkę, którą dostałem za odniesienie butów. Ja byłem nawet drukowany w gazecie...! Puść mię, panie, bliżej do Mickiewicza...

Trudno oprzeć się radośnemu wzruszeniu, słuchając takich opowieści. Spełniły się marzenia Mickiewicza: księgi jego dostały się do chat i warsztatów, pomnik jego zdobi skromny wianek, »rękami wieśniaczki usnuty z modrych bławatków i zielonej ruty«.

M. W.



Spichlerzyk w Zaosiu, rodzinnej wiosce Mickiewicza.

Sen wigilijny pana Marcina.



że, nie mało przygód zaznał w swem życiu pan Marcin!

Za młodu, w 1863 roku, bił się za wolność ojczyzny i puchy śniegowe były mu posłaniem, a sklepienie lasu — dachem. Potem w obcy kraj, na tułaczkę poszedł, bo we własnej ziemi, której bronił, nie było już miejsca dla niego. Na stare lata dopiero burze, co miotają łódką jego żywota, przycichły

i pan Marcin, jako białowłosy dziaduś, przy córce zamężnej osiadł i wnukami się cieszył.

Pod białym włosem jednak kryły się myśli śmiałe, gorące, a serce biło młodzieńczym zapałem i wiarą w zmartwychwstanie ojczyzny. Uczucia te swoje pan Marcin starał się przelać w wnuków, którzy mieli żyć i działać dla Polski wówczas, gdy jego nie będzie już na tym świecie. To też oddając godziny ranne pracy zarobkowej w biurze, wieczory poświęcał nauczaniu wnucząt tego, co mu życie w myśl i serce włożyło...

Pan Marcin bardzo lubił dni świąt do- rocznych. Na obczyźnie przebywając, tęsknił do pięknych zwyczajów, które im towarzyszą, do szczerzej gościnności, co otwiera domy polskie dla blizkich i dalekich, — swoich i obcych. Żaden jednak dzień uroczysty nie posiadał dlań tyle uroku, co Wigilja Bożego Narodzenia.

Czy to pamięć czasów dziecięcych, czy wpływ wspomnień, które się z tą chwilą w życiu jego związały, dość, że zdawało mu się, iż w dniu tym, kiedy jedni drugim przy

łamaniu opłatka składają życzenia na rok przysły, świat się cały zmienia, a ludzie wyglądają tacy dobrzy, tacy uroczyści, jakby im skrzydła u ramion wyrosły i aż powietrze całe tchnie wonią wesela, pomieszanego z rzewnością.

Ot i dziś pan Marcin dał się unieść wigilijnemu nastrojowi i przy wieczery opowiadał wnukom o Polsce, o Ojczyźnie drogiej i sławnej, co niby zaklęta królewna gdzieś w podziemnej grocie, przykuta łańcuchami do skały, czeka, aż w noc wigilijną, ktoś, niezważając na ciernie i przeszkody, dotrze do niej, skruszy jej pęta, zwoła potem trzech braci z trzech ziem i podzieli się z nimi opłatkiem już na własnej, zjednoczonej, niepodzielnej ziemi, — u własnego stołu...

Zwolna wszyscy się rozeszli, spać się pokładli. Stół, przykryty bielusińskim obrusem, opustoszał. Tylko paczka opłatków pozostała na bochenku chleba. Jedna świeca dopalała się w lichtarzu, pochyło stojącym na stole, sianem wyścielonym i słabo oświetlała pokój, w którego rogu czerniała sporych rozmiarów choinka. Pan Marcin, rozkołysany marzeniami, nie mógł odrazu powrócić do rzeczywistości. Wziął w zamyśleniu do ręki biały opłatek i wpatrując się w wyobrażony na nim krzyż i krwawiące się serce, myślał, ile to krzyżów było w jego życiu, ile to razy jego serce się krwawiło, ile razy jeszcze krwawić się będzie — bez końca!

Czy bez końca?...

Chłodny powiew dotknął jego twarzy. Spojrzał ku górze. Nad głową jego znikł sufit i rozciągało się tylko mroźne niebo, oświetlone blaskiem księżycy.

Noc była pogodna, jedna z tych zimowych nocy, w których blaski księżycowe dziwnie jakoś oświetlają ziemię.

Kędyś daleko gromadki ludzi spieszyły na pasterkę do kościołka wiejskiego, co stał, otulony śniegiem, pod białymi drzewami. A w powietrzu unosić się zdawały jakby tysiące bladych, o martwych twarzach postaci, co z przymkniętymi oczami, ku księżycowi zwrócone, to w górę lecą, to na ziemię spływają, krzyżując w powietrzu swe drogi, jak wielkie płatki śniegu w dzień spokojny, co to się zdaje, że równocześnie z nieba ku ziemi i z ziemi ku niebu lecą.

P. Marcin spojrział w dół. A tam opłatek, w który się jeszcze przed chwilą wpatrywał, począł rósć w jego oczach, rozszerzać się, aż dotknął brzegami widnokregu i przybrał pozór nocnej płaszczyzny, śniegiem pokrytej.

Zdawało się p. Marciniowi, że powierzchnia jego pękła na troje — trzech się nim podzieliło... Nie w Wilję! I wydało się p. Marciniowi, że w tem miejscu, gdzie przedtem był krzyż, godło męki, dopatruje się teraz zarysów litewskiej wioski, a tam, gdzie krwawiło się serce, poznaje pogrążone we śnie wielkie miasto — Warszawę!

W powietrzu nastąpiła większa jeszcze cisza, jak gdyby ustał szelest szat snujących się w księżycowym świetle postaci. P. Marcin, rzucił okiem dookoła i ujrzał tłum ich skupiony tuż przy sobie, z twarzami ku dołowi pochylonemi, z tą samą, co on, boleścią wpatrujących się w białą przestrzeń. I począł wśród tłumy poznawać znajome twarze. Byli tam jego towarzysze bojowi, szczęśliwsi od niego o tyle, że kula moskiewska lub bagnet oszczędziły im dalszych bólów i rozczarowań. Byli tam i ci, których oblicza znał zaledwo z rycin i obrazów, byli jeszcze inni, nieznani mu całkiem. A wszystko postaci wiotkie, jak mgła powiewne...

Ale siła nieprzeparta pociągnęła znowu wzrok jego w dół. Spojrzał i zobaczył tam ją, Polskę... Ujrzał nie taką, jak ją przedstawił w swojej opowieści wnukom, mimo to przeczuł drzeniem serca odrazu, że to Ona. Szła ku tłumowi powiewnych postaci, na pół nagie i bolesne ciało osłaniając od zimna strzępem starej purpury. Za nią postępował tłum milionów i milionów...

Ona odwracała się czasami ku temu tłumowi z bolesnym wzrokiem, jak gdyby powiedzieć chciała:

»Dzieci! Nikt-że z was nie okryje mnie — nie osłoni?«

Wtem z szarej masy wysunął się w smugę światła dumny magnat i rzucił jej niedbale swoją delję*) piękną i lśniącą. Duma błyszczała w jej guzach brylantami, samolubstwo w fałdy się na niej układało aksamitem, a krew i łzy uciśnionych przyłgnęły do niej rubinami.

Wstręt dreszczem przejął Jej ciało, kiedy dotknęła go delja. Odrzuciła ją precz od siebie tak, że padła daleko na orszak służalców niagnata.

Tymczasem z szarego tłumy, wyszedł człowiek inny. Okrywała go skromna szara burka. Znał ją pan Marcin dobrze i z pola bitwy i z tułaczki swej po obcych krajach i zewsząd, gdzie uczciwie a bezinteresownie pracowano. Ów człowiek zdjął burkę z siebie i schyliwszy kornie głowę, podał ją nad-

*) Szata zwierzchnia.

ziemskiej Postaci. Przyjęła dar z uśmiechem miłości, ale i smutku.

— Za mało — odezwał się głos jej cichy, jak szmer gałęzi, obnażonych z liści —

Panu Marcinowi ścisnęło się serce niewymowną boleścią. »Jako? — pomyślał sobie — więc nikt jej nie okryje?« i spojrzął w około po otaczających go duchach. Ale i te,



NA PASTERKĘ.

za mało rąk pracowało około szaty, za mało też na moje ramiona!

I z czcią złożyła burkę na wznoszące się wśród białej płaszczyzny mogiły.

tak samo jak on, pochyliły smutne twarze, a z oczu ich spływały na ziemię łzy...

Pan Marcin wpatrzył się z rozpaczą w leżącą przed nim białą przestrzeń, która

mu się w tej chwili dziwnie beznadziejną wydała.

Tymczasem noc się już miała ku końcowi, rozpękł się u skraju czarny widnokrąg i poczęło świtać. W dole ujrzał wioskę, zwolna się budzącą. Drzewa, otulone gęstymi kiściami siędieliny, wyglądały, jak puszyste białe ptaki. Z kominów chałup podnosił się słupem dym, który w mroźnym powietrzu szedł prościuteńko w niebo, mieniając się w świetle zorzy to brunatnym kolorem, to niebieskim, to jak złoto lśniącym.

Z jednej z chat wyszedł barczysty chłop i postępując śnieżną drogą, śpiewał pieśń.

Poznał ją pan Marcin, bo to była pieśń całego jego życia. Poznał, bo w tej pieśni każde słowo Nią tchnęło, każdy wiersz miłością dla Niej się palił, każda zwrotka opiewała, że Ona »jeszcze nie zginęła« i nigdy nie zginie.

Kiedy pan Marcin otarł załzawione oko i spojrzął wokoło, spostrzegł, że w jego otoczeniu zaszła wielka zmiana. Szare tłumy oblały się jasnością, blaski zorzy rzucały rumieńce życia na twarze otaczających go duchów, a w pośrodku stała Ona, z tryumfującym obliczem, okryta już — chłopską sukmaną!...

Panu Marcinowi serce wezbrało radością. Chciał dać jej wyraz w słowach gorących, chciał o coś zapytać...

Wtem ktoś pociągnął go za rękaw.

Pan Marcin otworzył oczy. Siedział jeszcze przy wigilijnym stole, przy którym się zdrzemnął. Złamany na trzy części opłatek wypadł mu z ręki.

— Dziadusiu! — szepnął tuż przy fotelu najstarszy z jego wnuczków, który nabwszy sobie głowę opowiadaniem dziadzi, bosu i w koszulince przybiegł jeszcze podzielić się z nim swemi marzeniami.

— Dziadusiu! — powtórzył, bez ceremonji gramoląc się na kolana. — A jakbym ja tak na drugą wilę poszedł do tej groty i królowną uwolnił? Prawda dziaduniu, że jestem dosyć mocny? — gwarzył, wyciągając przed siebie zaciśnięte pięstki.

— Za mało, moje dziecko, za mało! — westchnął dziadek.

— A jakbym wziął ze sobą jeszcze nawet Staszka i Marynkę, czy jeszczeby było za mało?

— Za mało, aniołku...

Chłopak zafrasował się ciężko. Ale po chwili twarzyczka mu się znowu rozjaśniła.

— Ah, już wiem, dziadusiu! — zawołał. — No, to jeszcze zabierzemy ze sobą tego chłopaka ze wsi, co to niedawno przyszedł do naszej szkoły. On ze wszystkich najmocniejszy. Przy jego pomocy uwolnimy królownę z pewnością. Czy tak?...

Wojciech Dąbrowski.

Z ziemi śląskiej.



VI.

Nigdy jeszcze »izbeczka na werchu« w chacie Małychjurków, we wsi Izdebnem, nie wydawała mi się taka śliczna, jak w chwili, kiedy ogarnian ją ostatniem, pożegnalnem spojrzeniem.

Dobrze mi tu było i czas leciał szybko. Dwa miesiące upłynęły, jakby wietrzyk górski przewiał. A teraz, gdy za chwilę wypadnie mi opuścić ten cichy kącik, gdy rozglądam się dookoła pełnemi żalu oczyma, złotawe ściany izbeczki zdają się rozsuwać, rozszerzać i rojnie zaludniać. Widzę, tak wyraźnie, jak gdyby naprawdę stali przedemną, nietylko liczną gromadkę przyjaciół izdebniańskich, lecz tych wszystkich, przez których i dzięki którym piękna ziemia śląska wydała mi się jeszcze piękniejsza, jeszcze droższa. Są więc tutaj znajomi z Wisły, Ustronia, Sibicy, Cieszyna, Trzanowic, Gnojnika, Frysztatu, — są rolnicy, doktorzy, dziennikarze, ale najwięcej nauczycieli ludowych, co z poświę-

ceniem i miłością niosą odważnie i wysoko »przed narodem oświaty kaganiec«.

Skromne ściany izbeczki wiejskiej tworzą nietylko wdzięczne, lecz i właściwe tło dla inteligencji, która przoduje dziś Śląskowi w dorobku umysłowym, wyszła ona bowiem z tych samych chat, w których wzięło początek wszystko, »co było i będzie!«

Wiejskie te chaty właśnie, mocniejsze od twierdz, stawiają od sześciu wieków zwyciężki opór niemczyźnie, — one to przechowały pod strzechą zwyczaj, mowę, uczucia polskie, — one czynią z Księstwa Cieszyńskiego ziemię polską.

I dobrze, swojsko na tej ziemi wędrowcom z innych dzielnic Polski — i żal ją żegnać...

A jednak żegnać trzeba....

Przez okno izbeczki spostrzegamy, wśród opadającej mgły porannej, wózek góralski, zaprzężony w białego konika, który ma nas odwiedzić do Miłówki. A właściciel siwosza, dobry nasz znajomy, Jan Skorzek, przechadza się z wawym krokiem przed domem, zacierając ręce nietylko z powodu rzeźwego chłodu, lecz potrosze i z niecierpliwości.

Obracamy więc spiesznie klucze w zamkach kufrów podróżnych i zbiegamy na dół. Tu następuje serdeczne pożegnanie z gazdoszkiem, gaździnką, ich dziećmi i najbliższymi sąsiadami. Gaździnka zaopatruje nas na drogę w rozmaite przysmaki: wsuwa w torby podróżne pieczone kurczęta, bryndzę, suszone grzyby, powtarzając przez łyby: »Malučko, ale wdzięczniučko«. — Gazda odprowadza — wedle zwyczaju — do najbliższego krzyża, wznoszącego się w cieniu lip olbrzymich.

Dzień zapowiada się prześliczny. Przez lekką oponę mgły prześwieca błękit nieba, a na wschodzie, z za krawędzi gór, wychyla się bezpromienne jeszcze słońce, podobne do świetnej kuli.

W łagodnych jego blaskach posuwamy się dalej. Z mijanych dworów wychodzą gazdowie i żegnając przyjaznymi uściskami ciepłych jeszcze od snu rąk, składają życzenia szczęśliwej podróży i powrotu »na rok«. Na ostatnim krańcu »dziedziny« przed *Wojtaszami*, oczekuje nas liczna gromadka, złożona z najzyczliwszych przyjaciół. Jest tu i Śliwka, góral-literat i Michał Juroszek, zawołany bajczarz i Jan Przygoniak, najślawniejszy na Izdebnem *gajdosz* (kobziarz) i hoża

jego gaździnka z dziećmi, zbudzonymi niezwykle wcześniej wskutek niezwykłych okoliczności, — jest i młode małżeństwo Kukulczków.

Po tem ostatniem pożegnaniu tracimy z oczu mieszkańców Izdebnego, tylko przez pewien czas postępuje jeszcze za wozem mała Marynka, córka gajdosza, w długiej do ziemi, różowej sukience, z różowszą od niej twarzyczką i paluszkami w buzi. Ale odległość, dzieląca ją od nas, wzrasta z każdą chwilą, aż w końcu drobna, barwna postać wsiąka w opary, ważące się, niby ptaki ze zwiniętymi skrzydłami, tuż ponad ziemią.

Teraz już tylko pola, drzewa, góry dokoła.

Na wysokiem »zboczu Ochodzitej, — które przerywna szosa, Skurczok zatrzymuje konia, odgadując łątwą, że zechcemy z tej wysokości raz jeszcze, raz ostatni »podziwiać się na dziedzinem« (spojrzeć na wieś).

Jakoż dziwamy się.

Złoty groń, pokryty ściernią lśni w słońcu, jak gdyby był naprawdę ulany ze szlacheckiego kruszcu, — rozrzucone dookoła niego »dwory« odcinają się wyraźnie na tle ogrodów owocowych i leśnych drzew liściastych, otaczających budynki. A niemal z każdym z owych »dworów« wiąże się jakieś dobre wspomnienie. Tu prowadziliśmy długie rozmowy o śląskich sprawach w ogólności, a izdebniańskich w szczególności. Tam słuchaliśmy oryginalnej muzyki i śpiewów góralskich. Ówdzie bawiliśmy się wybornie na weselu, przyglądając się malowniczym tańcom miejscowym, jak: owięziok, kowal, zbójnicki. Tam — i to wspomnienie należy do najdroższych — przyjaciele górale gromadzili się w popołudnia niedzielne na pogadanki historycznej treści, przysłuchując się opowiadaniom o dziejach wspólnej nam ojczyzny z uwagą i przejęciem, które czyniły z nich najwdzięczniejszych pod słońcem słuchaczy.

Wtem przypominamy sobie chwilę przyjazdu do Izdebnego. Jakże niepodobnym jest rzeźwy, słoneczny ranek dzisiaj do owej ciemnej, dusznej, burzliwej nocy! I jak znana, jak bliską sercu wydaje się nam dziś ta ziemia śląska, która nie skąpiła nam ani kwiatów, ni miłych wrażeń — ani wspólnych obrazów natury, ni podniosłego widoku zacnych usiłowań ludzkich...

M. Wystouchowa.





Listy do „Zorzy“.

Ustroj, 11. listopada 1901 r.

Szanowna Redakcjo „Zorzy“!

Z głębokiego uszanowania, jakie mam dla Ciebie, Szanowna Redakcjo, ręka drzy i niepewnie kreśli tych kilka wyrazów, które Ci przedstawić mają uczucia, przepelniające me serce od chwili pierwszego poznania Ciebie.

Nasamprzód chciałam Ci złożyć moje podziękowanie; ale czy tu wystarczą słowa? Sądzę, iż najlepszy i najpożądańszy dowód wdzięczności dam ci, miła Zorzo, korzystając z twoich nauk.

Przez ciebie, droga Zorzo, poznajemy sławnych poetów, co układają za serce porywające piosenki i wierszyki. Pokrzepiają one i rozweselają nas. A gdy się pytamy: a któż ich utworzycielami? — to wnet odpowiadamy: Synowie ziemi polskiej i radujemy się i dumni jesteśmy, że naród nasz polski wydaje sławniejszych ludzi, niż inne narody. My, czytelniczki »Zorzy«, wdzięczne też jesteśmy za rady gospodarskie. Uczą nas one lepiej gospodarować, — uczą także oszczędzać. A prawdę wielką wypowiedział znany pisarz polski, Edmund Wasilewski, w słowach następujących: »Jeżeli to prawda, że kochamy kraj ojczysty, że dla niego gotowiśmy wszystko poświęcić, wtedy miłujmy i wypełniamy oszczędność, gdyż bez niej nie zakwitnie dobrobyt w naszej ziemi, a bez dobrobytu niema szczęścia«.

Zasługą twoją wielką, »Zorzo«, jest także to, że rozwijasz w nas miłość do wszystkiego, co polskie, a najbardziej do mowy polskiej. Sławny na cały świat Polak, Karol Libelt, powiada: »Naród żyje, dopóki język jego żyje, bez języka narodowego niema narodu«.

Więc właśnie pod tym względem jesteś, »Zorzo«, najpotrzebniejsza. Obyś też była u nas na Śląsku w każdym domu czytana!

Z boleścią trzeba powiedzieć, że tu język polski się zatracą. A najsmutniej przyznać się, że przyczyniamy się do tego dobrowolnie, a nie pod naciskiem przymusu, lub rozkazu, jak naprzykład na Śląsku Górnym, pod panowaniem Prusaków.

Ty, Zorzo, stawiasz nas w wielu miejscach wysoko, mówisz o nas, jak o narodzie więcej oświeconym, — a czy wszyscy na to zasługujemy? — Bo czy godna pochwały jest taka naprzykład mowa z niemczyzną pomieszana: »Przyniósł mi bryftreger Ansichtskartkę od kameradki; u buchbindra*) są takie piękne, to jej też pošlę«.

A w mieście to już inaczej nie usłyszysz od służącej, tylko »Frau« i »Herr« zamiast: pan i pani. A co jeszcze gorsza! niektórzy, co parę słów mówią »halt«. — Jak zaś adresy piszą, to wstydzą się nawet powiedzieć, bo czytałam między innymi taki adres: »An Herrn Zuzanna«, co znaczy po polsku: »Do Pana Zuzanna«. Po niemiecku musi być choćby jedno słowo, choćby całkiem bez sensu.

Czując żywo potrzebę kształcenia się w drogiej mowie ojczystej, czytam Cię, Zorzo, pilnie, a także i inne pisemka i książki.

Miałabym jeszcze wiele co pisać, ale i tak tego za dużo. Kończę więc, życząc ci, miła gazetko, powodzenia, to znaczy, abyś miała dziesiątki tysięcy czytelników. Do tego zaś powodzenia my sami najbardziej przyczynić się możemy. Niech każdy i każda z nas po jednym choćby czytelniku zdobędzie dla gazetki, a liczba ich podwoi się w przyszłym roku.

Ja z mej strony wszelkich sił dołożę, abym mogła życzenie to ziścić, nie wątpię też, że i wszyscy inni czytelnicy Zorzy niezawodnie będą chcieli dopomóc kochanej Redakcji w jej pracy dla naszego własnego dobra.

Pozdrawiam Szanowną Redakcję i pozostaje wierną czytelniczką —

Ewa Raszyk.

*) Wyrazy z niemieckiego: Bryftreger — zamiast listonosz, — Ansichtskarta — zamiast pocztówka, albo karta ilustrowana; kameradka — zamiast towarzysza lub przyjaciółka; — Buchbinder — zamiast introligator.





ROZKAZI TOŚCI

Z opłatkiem. „Zorza“ wczesnie spieszy w tym roku z opłatkiem do domów waszych, Przyjaciele. Ale to nic nie szkodzi. Wcześniej, czy później wypowie swe życzenia — będą one zawsze jednakże szczerze.

Na usta ciśnie się najpierw to, co w sercu pierwsze zajmuje miejsce, — Ojczyźnie należą się życzenia najgorętsze. Niech zabłyśnie dla Polski pomyślniejsza dola, niech wróg nie pastwi się nad jej dziećmi!... Lecz stać się to może wówczas dopiero, gdy my sami będziemy więcej wari. Naród oświecony, świadomy swych praw i obowiązków, pielęgnujący wzniosłe cnoty chrześcijańskie, rychło przestanie być poddańczuchem, niewolnikiem. Starajmy się więc poprawić z wad, które nas do upadku doprowadziły, — starajmy się odrodzić moralnie, a po takim odrodzeniu nastąpi wnet inne. W to nam wierzyć i pracować i nie tracić nadziei. Więc też z wiarą, miłością i nadzieją nućmy piękne, starodawne nasze kolędy:

Hej nam, hej! Wszystek świat dzisiaj wesoly,

Wszystek świat dzisiaj wesoly,

Ujrawszy z nieba anioły.

Hej nam, hej! Dzieciatko się narodziło,

Dzieciatko się narodziło,

Niebo ludziom otworzyło.

Hej nam, hej! Panna idzie ozdobiona,

Panna idzie ozdobiona,

Słońcem, gwiazdy ustrojona...

Ku uczczeniu pamięci Mickiewicza odbyły się po wielu miastach galicyjskich, a także w Księstwie Poznańskim uroczyste obchody 26 listopada, jako w rocznicę śmierci poety. Pięknie wypadł zwłaszcza wieczorek, urządzony we Lwowie przez akademików. Najważniejszą chwilą obchodu była mowa przedstawiciela młodzieży, który zapewniał w podniosłych słowach, że młodzież dążyć będzie zawsze do celów, które jej wskazał Mickiewicz, że myśli, uczucia i czyni swoje poświęci Ojczyźnie.

W siedmdziesiątą pierwszą rocznicę powstania Listopadowego odbyły się dnia 29 listopada obchody niemniej uroczyste i rzewne jak co rok. Z rana tłumy pobożnych modliły się po kościołach za dusze poległych obrońców

ojczyzny. A wieczorem na zebraniach licznych obchodzono pamiątkę świętej walki o wolność. Podniosłe przemówienia treści historycznej, muzyka, deklamacja, bojowe nasze pieśni, takie ogniste i rycerskie, wszystko to przypominało słuchaczom wielkie chwile, kiedy ojczyzna była wolna, zbrojna i budziło w ich sercach tę gorącą miłość i cześć dla Polski i dla sprawy wolności. — „Zorza“ złożyła hołd wielkiej rocznicy już w listopadowym numerze.

Bohaterskie dzieci. Na dni kilka przed procesem, który się toczył w Gnieźnie i o którym „Zorza“ podaje szczegółową wiadomość na innym miejscu, uczenice w szkole ludowej we Wrześni, oświadczyły, że jak religji nie uczą się po niemiecku, tak też i śpiewać odtąd nie będą pieśni niemieckiej, która rozpoczyna się od słów: „Jestem Prusaczką“... Nie nie pomogły namowy, rozkazy i kary. Dzielne dziewczynki odpowiadały na wszystko grzecznie, lecz stanowczo, że nieprawdy śpiewać nie będą, bo są Polkami, a nie Prusaczkami. Cześć takim dzieciom!

Olbrzymi dąb. „Gwiazdka Cieszyńska“, gazetka, wychodząca na Ślązku pisze, co następuje: „Gdzie się znajduje najteższy dąb w Księstwie Cieszyńskim? — Na to pytanie odpowiadał, że w Górnych Czechowicach, w powiecie bielskim, na gruncie Michała Grygierczyka tuż przy jego stodole stoi odwieczny dąb, który w wysokości piersi ma 7 m. 80 cm., nad korzeniem 11 m., a pod koroną 7 m. 38 cm. obwodu Olbrzym ten jeszcze rośnie bujnie, rodzi żołędzie, wysokość jego mniej więcej wynosi 30 m. Pień ma wypróchniały, do którego dawniejszy gospodarz, Walenty Grygierczyk, wyrąbał otwór, w którym przed 50 laty straż skarbowa znajdowała kryjówkę. Do tego pnia mniej więcej 12 do 15 ludzi zmieścić się może. Dodać należy, że dąb ten w różnych czasach od różnych ludzi fotografowany był. Jeżeli grubszy dąb się nie znajdzie, to ten za patryarchę wszystkich drzew w Księstwie Cieszyńskim musi być uważany“.

Największy człowiek na świecie objężdża teraz Amerykę. Jest nim Edward Bopré. Wzrost tego olbrzyma, który ciągle jeszcze rośnie wynosi 2 mtr. 45 centymetrów. Bopré pochodzi z Kanady, z Ameryki, waży 180 kg. i ma być bardzo ładnie i proporcjonalnie zbudowany. Rodzice olbrzymiego Kanadajczyka odznaczali się także wysokim wzrostem; syn ich do 7 roku życia rósł zwyczajnie, później dopiero wystrzelił nagle w górę.





Rady gospodarskie.

Święta przynoszą wszystkim wytchnienie, jeno nie gospośiom. Owszem, gospodyńki mają wtedy krzątany i kłopotów najwięcej. Owoż chcąc Wam przyjąć z pomocą wedle sił i możliwości, »Zorza« podaje parę przepisów gospodarskich co do pieczenia ciasta świątecznego, a także o robieniu kiełbas i kiszek, bo teraz właśnie biją wieprze po wsiach. Przepisy te ułożyła pewna pani w Warszawie, która nie jedną pożyteczną książeczkę napisała. Podpisuje się ona zawsze, jako Antoszka.

Oto są te przepisy:

Butki. Dwa litry mąki pszennej rozczynić dwoma litrami słodkiego mleka, dodać 12 dekagr. suchych rozmoczonych w mleku drożdży, lub dolać szklanę mokrych drożdży z piwa. Jak podrośnie, dosypać drugie z litry mąki, wbić 10 całych jaj, wsypać pół funta mialkiego cukru, pół funta roztopionego, ale przestudzonego masła, osolic łyżeczką soli, doskonale wyrobić, aby ciasto od ręki odstawało i zostawić w spokoju, żeby rosło. Następnie porobić spore bocheneczki, podsypać mąką, posmarować rozbitem na miseczce jajkiem i wsadzić w piec na niecałą godzinę.

Ażebymy być pewnym, czy ciasto się dobrze wypiekło, trzeba ostrożnie cienko patyczek i z boku przekłuć nim bochenek aż do środka. Jeśli wyciągnięty patyczek okaże się suchy — to ciasto jest wypieczone; jeżeli patyczek jest wilgotny — trzeba ciasto jeszcze na czas jakiś do pieca włożyć.

Ciasto świąteczne lepsze. Kto chce mieć ciasto smaczniejsze, niech na tę samą ilość mąki, to jest na 4 litry do przyczynienia, weźmie 20 jaj, z których żółtka należy ubić z jednym funtem cukru, a białka osobno na pianę; jeden lub najmniej pół funta stopionego masła, pół funta czysto oplukanych rodzynek, trochę cynamonu lub otartej o tarkę skórki z cytryny, albo pomarańczy, sześć sztuk gorzkich migdałów drobno usiekanych (dla zapachu) i 15 dekagr. drożdży, bo

ciasto. w którym jest więcej przypraw, trudniej rośnie. Ciasto takie, jak wyrośnie, można nakładać w formy, jakich używają do pieczenia babek, lub na brytwany (blachy), wyłożone papierem. Wprzód jednak tak formy, jak i papier nakładany na blachy, trzeba wysmarować dobrze masłem, bo inaczej ciasto się pokruszy. W piecu siedzieć powinno godzinę. Jak się ciasto wyjmie z pieca, trzeba formę położyć na bok, aby trochę ostygła i dopiero powoli o.łwrócić i delikatnie bakkę wytrząsnąć.

Kiełbasy. Pozostałe kawałki od karku i różne resztki wieprzowego mięsiwa drobno pokrajać, dodać parę ząbków posiekanego trochę czosnku na wszystko mięso — (bo jak przesadzić czosnkiem, to kiełbasy niedobre), osolic, opieprzyć tłuczonym pieprzem z angielskim zielem razem, wsypać pół łyżki tłuczonej saletry, pokropić zimną wodą i doskonale wymieszać. Cienkie kiszki dobrze oczyścić, wypłukać, wyszlamować, t. j. nożem oskrobać, jeżeli są dosyć mocne, w przeciwnym razie poczekać ze szlamowaniem aż się zrobi kiełbasy, a potem zamoczyć w wodzie i lekko nożem zeszkrobać. W oczyszczone kiszki nakładać mięso, upychać mocno, lecz ostrożnie, żeby nie pękły; jeżeli zbierze się w kiszce powietrze, nakłuć to miejsce szpilką lub igłą i nasunąć mięsa, bo od pozostałego w kiszkach powietrza mięso się psuje. Najlepiej po zrobieniu, obsuszyć dobrze kiełbasy, lub jeszcze lepiej — owędzić. Po owędzeniu jeść je można surowe, gotowane lub smażone.

Kiszki. Lekkie, podgardle, serce ugotować, w osobnym zaśgarnuszku obgotować wątrobę, bo woda z niej zawsze bywa gorzkawa. Wyjąwszy wszystko to z rosołu i przestudziwszy, posiekać drobnutko, wątrobę zaś osobno utrzeć na tarce. Rosołem, w którym się gotowały lekkie i podgardle, sparzyć siekaninę; trzy kwarty tatarskiej kaszy wymieszać z mięsem, osolic, opieprzyć pieprzem tłuczonym z angielskim zielem i ponakładać w kiszki niezbyt wiele, bo przy gotowaniu popękają.

Gorszy gatunek kiszek. Krew zsiadłą obgotować w gorącej wodzie, wycedzić na przetak; jak woda ścieknie, usiekać drobno, dodać skwarków wysmażonych ze smalcu, trochę smalcu dolać, aby kasza nie była za sucha; zmieszać z 2 kwartami tatarskiej kaszy, którą można sparzyć wodą, z gotowania kiszek pozostałą, posolic i opieprzyć,

jak poprzednio i ponakładać w kiszki, zatykając je drewniakami lub zaszywając.

Jeżeli wątroba i kasza wzięte były do robienia kiszek surowe, to trzeba nakładać kiszki bardzo wolno, tylko przez pół, bo one w gotowaniu napęczniają i w takim razie trzeba je długo gotować; jeżeli zaś wątroba była gotowana, a kasza sparzona, to dość gotować kiszki pół godziny.



Odpowiedzi od Redakcji.



Dalekich, a bardzo drogich Czytelników z Parany, w Brazylii, przepraszamy najserdeczniej, że późno otrzymali sierpniowy i wrześniowy numery „Zorzy”. Spóźnienie to jest naszą wyłącznie winą. Nie miejcie więc o to żalu do Szanownego Redaktora „Gazety Polskiej”. Owszem i Jemu wyrządziliśmy tem mimowolną przykrość, choć radziliśmy byli z całej duszy dopomóc P. Redaktorowi w zaćnej jego pracy dla rodaków za morzem.

F. J. Godłowski, kierownik szkoły polskiej w Cieszynie. Pieśń o Olzie sprawiła mi szczerą uciechę. Powtórzę ją w „Zorzy” z radością. Za życzliwość dla gazetki racz przyjąć, Szanowny Panie, wyraz żywej wdzięczności.

P. Edward Stowik w Wiedniu. „Zorzę” wysyłały do „Równości”. Prenumerata zapłacona już i za rok 1902. A może naddatek przeznaczony był na pierwszy rocznik gazetki? Pozdrowienia i życzenia bratnie robotnikom polskim na obczyźnie!

P. Jan Urbański w Mikulińcach. „Zorza” serdecznie dziękuje za taką piękną nazwę i za-

syła nawzajem pozdrowienie kochanemu Czytelnikowi.

P. Józef Leszczyk w Dybni. Grzesznikowi, który weale a weale nie jest grzesznikiem, składamy życzenia, aby mu się i poza domem zawsze pomyślnie wiodło. A jak to dobrze, że dziatki czytają! Młode główki, to niby rola na wiosnę, wszystko tam bujnie wyrasta. Niech że się pleni złota pszenica dobrych myśli i zagłuszy szkodliwe chwasty!

P. Zenon Karaś w Krakowie. Rocznik pierwszy wysłaliśmy. Wdzięcznością prawdziwą napełnia nad życzliwość dla „Zorzy” i zajmowanie się jej losami. Wielki to zaszczyt dla gazetki, że ma przyjaciół w sławnym grodzie podwawelskim.

Jan Piękoś w Północnej Ameryce. Dzięki za pamięć. Ślemy życzenia szczęścia i powodzenia na ten rok nowy!



Od Administracji.

Wszystkie numera „Zorzy z 1900 r. ozdobione licznymi i pięknymi obrazkami, kosztują wraz z przesyłką **20 centów**.

Wszystkie numera „Zorzy” z roku 1901 kosztują z przesyłką **32 centy**.



Treść numeru: Na gody. — Z księgi naszych krzywd. — Ku czci Adama Mickiewicza. — Sen wigilijny pana Marcina. — Z ziemi śląskiej. — Listy do „Zorzy”. — Rozmaitości. — Rady gospodarskie. — Odpowiedzi od Redakcji. — Od Administracji.